



HISTORIA TOMASZA KOTA

Skazany na sukces

Dwumetrowy facet z duszą dziecka. Kiedyś zarabiał udawaniem rosyjskich gangsterów w krakowskich klubach, dzisiaj pracuje jako aktor na całym świecie

TEKST JACEK TOMCZUK

Są takie trzy pytania, które zadaje się aktorom przez całe życie. Jak to jest nauczyć się tyle tekstu na pamięć? Czy wolisz teatr, czy film? Skąd to się wzięło, że jesteś aktorem? – mówił kilkanaście dni temu Tomasz Kot na konferencji prasowej w Warszawie. – Na ostatnie często w tonie żartobliwym odpowiadałem, że byłem jednym z dzieciaków w „Akademii Pana Kleksa” i tak to się zaczęło. Wszyscy to łykali, oczywiście, nie jest to prawda.

40 lat po tamtym filmie Krzysztofa Gradowskiego powstaje nowa ekranizacja książki Jana Brzechwy. Tym razem Tomasz Kot w niej wystąpi i to w roli Ambrożego Kleksa.

– Tomek nie ma nabożnego stosunku do aktorstwa, nie uprawia go na kolanach. Dla niego to nie mistyka, ale wielka zabawa w człowieczeństwo – mówi Jerzy Stuhr. – Jest uroczy we wszystkim, co gra, nieważne, czy są to reklamy, komedie, czy filmy dla dzieci. Przypomina mi Jeana-Paula Belmondo. Bawi się aktorstwem, traktuje je z przymrużeniem oka.

SŁUCH ABSOLUTNY

TOMASZ KOT, rocznik 1977, najpierw marzył o liceum plastycznym, chciał

zostać malarzem. Kiedy rodzice wybili mu to z głowy, postanowił być misjonarzem. W 1991 r. w Peru zamordowano dwóch misjonarzy, jeden z nich był przyjacielem jego ojca. Bywał u nich w domu w Legnicy, Tomasz nazywał go wujkiem. Poszedł do seminarium.

– Zostałem wtłoczony w zakonny rygor, życie ustalone co do minuty: o szóstej pobudka, 6.15 gimnastyka, potem msza. Nic nie podlegało dyskusji. Za każde przewinienie można było wylecieć, a większość uczniów to byli chłopcy z niezamożnych rodzin. Dla nich pozostanie w szkole było być albo nie być. Ja byłem dopiero drugim, który odszedł z własnej woli – tak wspominał pobyt w bursie seminaryjnej. Wytrzymał pół roku.

W końcu trafił do kółka teatralnego, które prowadził Janusz Chabior. Tak go to wciągnęło, że odpuścił przedmioty ścisłe i postanowił zdawać do szkoły aktorskiej. Tym razem zbuntowali się rodzice, dostał szlaban na teatr.

– Odtąd z aktorstwem się ukrywałem, mówiłem, że idę na korepetycje z polskiego, a szedłem na próbę – opowiadał.

Nie został dopuszczony do matury, ale ze sceny nie zrezygnował. Dyrektor legnickiego teatru Jacek Głomb zatrudnił 19-latkę bez matury jako adepta.

– W teatrze nie było tajemnicą, że Tomek ma wielkie możliwości, ale też konflikt z ojcem, który nie akceptuje jego wyboru – wspomina połowę lat 90. reżyser Krzysztof Kopka. – Może ojciec liczył, że wybije synowi aktorstwo z głowy. Ale on się zawziął. Wyprowadził się nawet na jakiś czas z domu. I bardzo dużo grał. Zaczęliśmy robić monodram według opowiadania „Edzio” Brunona Schulza. Zobaczyłem brylant, chłopaka, który nie ma jeszcze techniki, ale posiada teatralny słuch absolutny, kapitalną intuicję. Na premierę przyszła mama, prosiłem, żeby nie blokowała jego ambicji.

Tomasz zdał maturę i złożył papiery chyba do wszystkich szkół teatralnych w Polsce poza Wrocławiem, bo to za blisko Legnicy. Zdał za pierwszym razem, do Krakowa.

ISĆ NA SWOJE

– **OD POCZĄTKU OTWARTY I UFNY, ŚWIETNY MATERIAŁ** na studenta – tak go wspomina Jerzy Stuhr. To był rocznik, w którym studiowali m.in. Magdalena Boczarska i Krzysztof Pluskota, dzisiaj dyrektor Teatru Stu. – Był pracowity i miał niesamowity wdzięk. A to są bardzo duże atuty aktorskie.

– Na studiach czuliśmy, że to wyjątkowy talent. Ale jako człowiek był zagadką – mówi aktorka i pisarka Agata Pruchniewska. – Dwumetrowy facet z duszą dziecka. Miał od początku wielką determinację i wiarę w siebie. Poza tym uwielbiał bawić się aktorstwem.

Na egzaminie występowali w „Świętoszku” Moliere. Reżyser posadził ich na małej kanapie, Kot się na niej nie mieścił. I potrafił świetnie to ograć. Był tak zabawny, że Pruchniewska nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Kuba Snochowski, kolega z roku: – Czuć było, że nie ma wsparcia w rodzinie dla swojego wyboru aktorskiego. Pamiętam, że rodzice zaczęli przyjeżdżać do Krakowa chyba na trzecim roku i Tomek bardzo to przeżywał. Dużo umiał, ale wiedział, że szkoła daje papier na bycie aktorem, bez tego będzie mu ciężko. Mam wrażenie, że trochę się krył z tym, że grał w Legnicy, bo to było zabronione na pierwszym roku.

– To była fikcja z tym ukrywaniem się – śmieje się Jerzy Stuhr. – Przecież Jacek Głomb był moim studentem, byliśmy w kontakcie. Wiedzieliśmy o Tomku.

Na studiach największe kłopoty Kot miał z systematycznością i dyscypliną. Któregoś razu nie zjawił się na próbie generalnej na egzaminie u reżysera Jerzego Jarockiego.

– Takie zachowania praktycznie się nie zdarzały – wspomina Agata Pruchniewska. – Byliśmy pewni, że profesor nie dopuści go do egzaminu, a Jerzy Stuhr wyrzuci ze szkoły. Ale ten tylko go upomniał, a Jarocki postawił chyba nawet piątkę. To świadczyło o kredycie zaufania, jaki Tomek miał w szkole.

W czasie studiów Kot dorabiał w klubach, biorąc udział w imprezach reklamowych. Na promocji papierosów przebierał się za Statuę Wolności, a gdy promowano wódkę – za radzieckiego gangstera.

– Chodziliśmy z kolegą po knajpach i na oczach przerażonych klientów wyciągaliśmy karabiny, żądając haraczu – wspominał. – No i suspens był taki, że to promocja, bo jak nacisnęliśmy spust, to z karabinów lała się wódka.

Po studiach postanowił zostać na stałe w Krakowie. – W Legnicy byłby zawsze synem swego ojca, nauczyciela, członka zarządu miasta, radnego, osoby dość znaczącej – mówi Jacek Głomb. – A Tomek chciał iść na swoje. Wybrał Teatr Bagatela, dużo mniej prestiżowy niż Stary Teatr czy „Słowak”. Wiem, że to może wydawać się kontrowersyjne. Ale można na to popatrzeć inaczej: chłopak z Legnicy, który został aktorem trochę przeciwko rodzinie. I oto zgłasza się do niego teatr z Krakowa, który daje mu etat, obiecuje duże role, stabilizację. To musiało dla niego dużo znaczyć.

BIEDNY, ŻE HEJ

– **WIEDZIAŁEM, ŻE NIE CHCĘ** do tej roli aktora ze znaną twarzą – Jan Kidawa-Błoński wspomina rok 2003 i długie poszukiwania aktora, który miałby zagrać Ryszarda Riedla w „Skazanym na bluesa”. Znajomy producent powiedział mu, że widział przedstawienie „Hamleta” z Legnicy, młody aktor grający tytułową rolę był rewelacyjny.

– Spotkaliśmy się, okazało się, że Tomek w ogóle nie jest podobny do Riedla, ma krótkie włosy i jest dużo wyższy. Ale była w nim taka energia, że się zdecydowałem – wspomina reżyser.

Kot zaczął solidne przygotowania: jeździł do Tychów, rodzinnego miasta wokalisty Dżemu, rozmawiał z jego rodziną, członkami zespołu, wybrał się nawet z nimi w trasę koncertową. Chodził na spotkania Monaru, podpatrywał narkomanów w kolejnych stadiach uzależnienia. Kilka miesięcy przed zdjęciami zgodził się, by doczepiono mu długie włosy. Założył dżinsową kurtkę, wyglądał jak menel. Kiedy wchodził do sklepu, ochroniarz dreptał za nim, pilnując, by niczego nie ukradł.

– Myślę, że w tej roli pociągało go kilka rzeczy. I Tomek, i jego bohater mieli konflikt z ojcem, uciekali z domu. Wiedziałem, że do tej roli czerpał ze swoich doświadczeń – mówi Kidawa-Błoński. Pamięta też premierę filmu w Tychach. Piknik, 14 tysięcy ludzi przyszło napić się piwa, posłuchać piosenek Dżemu i zobaczyć film o swoim idolu.

– Siedzieliśmy za kulisami. Widziałem, jak Tomek umiera ze strachu. Gdyby ludzie nie uwierzyli mu jako Ryśkowi, to byłaby katastrofa. Ale z każdą minutą tłum cichł i w coraz większym skupieniu oglądał nasz film. Ludzie go kupili i zgotowali owację. Odetchnął – wspomina reżyser.

Kot mieszkał wtedy w kamienicy na krakowskim Kazimierzu, gdzie aktorzy mieli do dyspozycji kilkanaście mieszkań od miasta.

– Wtedy Kazimierz był inną dzielnicą niż teraz: niebezpieczną i biedną. Kiedy Tomek jechał na jakiś plan do Warszawy, dzwonił do mnie: zobacz, co się dzieje w moim mieszkaniu, bo sąsiad dzwonił, że mam wybite okna – wspomina aktor Jakub Snochowski. – Tomek stał się w miarę rozpoznawalnym aktorem i miejscowi złodzieje myśleli chyba, że musi być bogaty. A był biedny, że hej. Któregoś razu ukradli mu najcenniejszą rzecz, jaką miał: oryginalny kapelusz Riedla, który dostał podczas kręcenia filmu.

Znajomi mówią, że tak mocno wszedł w rolę Riedla, że miesiącami musiał się z niej uwalniać. Czasami przypominał

ćmę barową. Spędzał całe noce z podejrzanymi pijaczkami, którzy opowiadali mu o przegranym życiu.

KOMEDIE I ALKOHOL

NAGRODA NA FESTIWALU W GDYNI za debiut aktorski w „Skazanym na bluesa”, udział w serialach „Niania” czy „Camera Cafe” stały się przepustkami do innych ról: w serialach, dramatach, teatrach telewizji, ale najczęściej w komediach. Kot przeprowadził się do Warszawy.

– Tomek nie odróżniał wtedy, czy gra w czymś poważnym, czy śmiesznym – mówi pisarz i scenarzysta Andrzej Saramonowicz, który sam obsadził go w „Testosteronie”, „Ciachu” czy „Jak się pozbyć cellulitu”. – Miał taką samą przyjemność z grania. A to, że brano go tyle razy do złejszego repertuaru, świadczy, że ma talent.

Niektórzy krytycy narzekali, że Kot przez lata rozmieniał się na drobne.

– Ale przecież Tomek, chłopak z Legnicy, musiał się cieszyć, że chcą go w Warszawie, oferują kolejne role, choć przez całe studia słyszał, że przebijają się nieliczni. Raczej czuł ulgę, że ma pracę. Poza tym obecność w kinie i telewizji była argumentem dla niego i rodziny, że dobrze wybrał – mówi Krzysztof Kopka.

Po kilku latach poszedł na próbne zdjęcia do filmu dramatycznego. Bardzo mu zależało. Ale na koniec zdjęć reżyserka powiedziała: „No dobrze, dobrze, ale wiesz...”. Roli nie dostał. To powtórzyło się kilkakrotnie. Zaczął się zastanawiać, dlaczego tak jest.

– W pewnym momencie grałem w komediach non stop. Kilka było nieudanych. Miałem wrażenie, jakbym się kserował. Wszystko podobne, te same osoby. Byłem zmęczony pracą, którą uwielbiam. I chyba to najbardziej mi przeszkadzało – wspominał w „Gazecie Wyborczej”.

W 2011 r. udzielił wywiadu, w którym wyznał, że ostatnią wódkę wypił sześć lat temu. I że odzyskał kontrolę nad sobą.

– Kiedy go spotkałem w 2005 r. w Teatrze Bagatela w Krakowie na próbach „Testosteronu”, a potem w 2006 r., kiedy kręciliśmy „Testosteron”, to było dwóch różnych Kotów – wspomina Saramonowicz. – Pierwszy ostro pił i świetnie grał. W Warszawie spotkałem już faceta, który

przeszedł terapię i skończył z alkoholem. Zaimponował mi, że tak szybko zrozumiał niebezpieczeństwo i zaczął się leczyć. Inaczej jego talent rozplątałby się w nałogu. Kiedy kręciliśmy „Testosteron”, wszyscy główni aktorzy mieszkali wspólnie i po zdjęciach kontynuowali dobrą zabawę: Szyc, Stuhr, Mecwaldowski... Dla Tomka to nie była łatwa sytuacja. Po kilku dniach poprosił, żeby znaleźć mu inne miejsce do spania.

BOGOWIE. ŚMIECH I ŚMIERĆ

– **ZOBACZYŁEM**, ŻE NIE MA MIĘDZY NIMI żadnego podobieństwa fizycznego. Ale

„Tomek nie ma nabożnego stosunku do aktorstwa, nie uprawia go na kolanach. Dla niego to nie mistyka, ale wielka zabawa w człowieczeństwo

JERZY STUHR

jest ta sama energia i poczucie humoru – Łukasz Palkowski wspomina pierwszą rozmowę z Tomaszem Kotem na temat zagrania roli Zbigniewa Religi.

Kot już wtedy staranniej wybierał role, wycofywał się z komedii i seriali. Miał więcej czasu i poświęcił się przygotowaniu do tej roli. Brał udział w operacjach, rozmawiał z żoną i synem profesora, przyjaciół wypytywał, jak Religa pił kawę, trzymał skalpel, czytał gazetę... Oglądał filmy dokumentalne, ćwiczył mimikę, chód.

– Jak zaczęliśmy próby, Tomek miał tyle przygotowanego materiału, że moją rolą było tylko wybrać coś z jego propozycji – śmieje się Palkowski.

Kilka filmowych scen w „Bogach” konsultował Grzegorz Religa, syn profesora.

ra. Kiedy zobaczył Kota w akcji, mruknął: robi to jak ojciec.

– Rolą Religi mnie zaskoczył – mówi Stuhr. – Pokazał, że wiarygodnie potrafi zagrać wewnętrzny dramat człowieka.

– Tomek przyjeżdżał na plan wcześniej i rozkładał w miejscach niewidocznych dla kamery sztuczne kupy, wymiociny, odcięte palce, żeby aktorzy mogli się na nie natknąć. Dbał, żeby w pracy nie zabrakło humoru – opowiada Palkowski.

DAJCIE SPOKÓJ

– **PRZEZ LATA** ZUPEŁNIE NIE ZAPRZĄTAŁEM sobie tym głowy – mówił pytany o pracę za granicą. Po „Bogach” wciąż wracało to pytanie, ale nie znał angielskiego, więc miał prostą odpowiedź: „dajcie spokój”. Zbliżał się wtedy do czterdziestki. Dopiero „Zimna wojna” zmieniła jego nastawienie. – Do Cannes jechałem jeszcze jak turysta, ale wracałem z festiwalu z myślą, że to wcale nie jest takie nierealne – wspominał.

Nominacja oscarowa dla filmu Pawlikowskiego jeszcze zwiększyła apetyt.

– Wtedy wybrałem się do Los Angeles na zaproszenie agencji aktorskiej UTA. Miałem się tam pojawić dwa tygodnie przed Oscarami. Przyleciałem miesiąc wcześniej. Stwierdziłem, że przy okazji może być to szansa na podszkolenie angielskiego – mówił. Zamiast wynajmować samochód, wołał zamawiać Ubera. Wśród kierowców poznał aktorów, muzyków, scenarzystów, którzy marzyli o karierze. Gdy z jednym z nich podjechał pod agencję, ten rzucił: – Wow, człowieku, UTA. Kiedyś byłem aktorem. Dziesięć lat starałem się tu dostać.

– Tomek szansę na sukces przyjął bardzo ostrożnie – opowiada Łukasz Palkowski, który spotkał go w Los Angeles. – Cieszył się jak dziecko, jakby do końca nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. A jednocześnie nie chciał korzystać z tego całego blichtru, który przysługiwał mu jako aktorowi filmu nominowanego do Oscara: prawa do limuzyny, apartamentu, obsługi. Widział, że ta bajka zaraz się skończy, lepiej twardo chodzić po ziemi. Wiem, że kilka ważnych projektów pokrzyżowała pandemia, ale wierzę, że wróci. ■

jacek.tomczuk@newsweek.pl